

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Henryk Sienkiewicz

W kręgu trylogii

Niewola tatarska

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Niewola tatarska

Urywki z kroniki szlacheckiej
Aleksego Zdanoborskiego

I

Pachołę, jadąc przodem albolii też za mną, pobrzdękiwało na teorbaniku, a mnie żalność i tęsknota za Marysią ścisnęły serce – im dalej od niej odjeżdżałem, tym ją miłowałem goręcej. Przychodziły mi wówczas na myśl słowa: *Post equitem sedet atra cum*, lecz gdy w tak wielkim fortunej mojej uszczupleniu z J. W. Tworzyańskim mówić ani mu się wyświadczać z afektów nie śmiałem, nie pozostało mi nic innego, jak szablą na nową fortunę zarobić i *gloria militari* się przyozdobiwszy, dopieroż przed nim stanąć. Bóg mi ani Marychna moja serdeczna nie mogli wziąć za złe, zem tego wprzódzie nie uczynił. Gdyby mi ona kazała w ogień albo też w wodę skoczyć, albo zgoła krew przelać, Ty, Jezu Chryste, który patrzysz w serce moje, widzisz, że byłbym to uczynił. Ale jednej rzeczy nawet dla wdzięcznej dziewczeczki mojej nie mogłem poświęcić, a to honoru szlacheckiego. Fortuna moja była żadna, lecz zasię krwi zacność wielka, a po ojcach jakoby testamentem miałem przekazane, bym wiecznie uważył, a gardło jest rzeczą moją i one wolno mi na szwank podawać, ale *integra* rodu *dignitas* jest puścizną przodków, którą mam oddać tak, jak ją wziętem: *integram*. Wieczny odpoczynek racz ojcóm moim dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki wieków! Choćby J. W. Tworzyański dziewczeczkę swą oddać mi się by zgodził, nie miałbym jej gdzie wprowadzić; gdyby zaś, bacząc na szczupłość mej fortunę, w dumie swej pauperem albo zgoła szarakiem mnie nazwał, tedybym się w rozumieniu o wyborności rodu mego czuł dotknięty i pomścić bym się na nim musiał – czego, gdy on jest ojcem mojej Marysi, Panie Boże nie dopuść.

Owóż i nie zostało, jak jechać na kresy. Rzędziki, pasy i co było lepszego po ojcach częścią zastawiwszy, częścią przedawszy, zebrałem dukatów ważnych trzysta, które zaraz na prowizję J. W. Tworzyańskiemu oddałem, potem łzami i ciężkim wzdychaniem pożegnawszy Marysię, przez noc gotowałem się do drogi, a nazajutrz oba z pacholkiem obróciliśmy konie ku wschodowi.

Wypadło jechać na Zasław, Bar, do Hajsynia. Po zamkach, dworach lub karczmach na noclegi stawając, dotarliśmy wreszcie do Umania, za którym step już otworzył się przed nami równy, bujny, głuchy. Pachołek, jadąc przodem, coraz to w teorbanik uderzał i pieśni śpiewał, a mnie się zdało, że przede mną leci jako ptak, za którym gonię – sława – a za mną, jako drugi ptak – tęsknota. Jechaliśmy do stannicy, zwanej Mohylna, gdzie czasu swego J. W. ojciec mój, pułkownik, z chorągwią pancerną strażował, którą był własnym sumptem na wojnę z bisurmany wystawił; ale do Mohylnej jest bardzo daleko, bo chwalić Boga, Rzeczpospolita szeroko rozsiadła się po ziemi, i prócz tego trzeba tam jechać przez stepy, na których dzień i noc myszkują Tatarzy i różni łotrzykowie, więc i szyi własnej strzec bardzo wypada. Po drodze dziwowałem się wszystkiemu, jako że pierwszy raz na Ukrainie będąc, same nieznanne spotykałem sprawy i rzeczy. Ziemia to wojenna, lud też w niej twardszy niż u nas i hardziej-szy, a w chłopie fantazja taka, jakiej szlachcic by się nie powstydział. Gdy osadą przejeżdżasz, choć pozna, żeś urodzonym, ledwie ci czapki uchyli, a w oczy prosto patrzy. W każdej chacie jest tam i szabla, i rusznica, a niejedyn chłop obuszek w ręku nosi właśnie jako gdzie indziej szlachcic. Zawzięta też natura jest w tych ludziach i nawet – za co ich szabla już karała i jeszcze pokarze – z komisarzów Rzeczypospolitej niewiele sobie robią, taki bliskość pogaństwa i ciągła wojenna gotowość wyrobiły w nich animusz. Rolą niezbyt chętnie się parają, a jeśli któremu i pluży gospodarka, woli na swoim niż na pańskim osiadać. Za to do pocztów dworskich albo i pod lekkie znaki Rzeczypospolitej chciwie się zaciągają i żołnierz, zwłaszcza do zwiadów i harców, z nich wyborny, choć i w polu *non obtrectant*, ale krzyk wielki uczyniwszy na nieprzyjaciela jako w dym idą, siekąc i koląc. Każda ich osada podobniejsza jest do taboru niż do wsi; koni mnóstwo trzymają, które na stepie zimą i latem się pasą, a są tak ściśle jak tatarskie. Wielu z nich także na *insulae* dniewprowe ucieka i tam w Siczy żywot jakoby zakonny, ale wojenny i wcale rozbójniczy prowadzą, na których to ich swawolach wiele

ucierpiała i cierpieć jeszcze będzie, póki ich nie poskromi, miła ojczyzna nasza. Na miejscu jakowemu szlachcicowi, a choćby i możnemu panu, trudno ich utrzymać, albowiem raz w raz się zrywają i w puste stepy, których tam dowolna, idą na własnej woli osiadać. Konstrukcją ciała są zarówno jak i *moribus*, od naszych chłopów odmienni, gdyż wysocy są i krzepcy, cerę mają śniadą, do tatarskiej podobniejszą, wąsy tak jak u Wołochów czarne, łby zaś, modę od pogaństwa przejąwszy, gołą, na samym tylko czubie srogi oseledec zostawując. Co widząc i rozważając dziwowałem się bardzo i tej ziemi, i wszystkiemu, co w niej jest, a jakom ją nazwał wojenną, tak też i powtórzę, że krainy dla zbrojnego i konnego ludu przygodniejszej próżno by po całym świecie szukać. Gdy jedni zginą, drudzy ze wszech stron nadciągają i po wszystkich szlakach tak właśnie jakoby stada ptaków ciągną, a w onej pustoszy stepowej łącznie usłyszeć, niżli skowronka nad glebą huk samopałów, szczęk szabel, rżenie koni, furkotań chorągwi na wietrze i krzyki żołnierskie. Chodzą tam także, jak również na Podolu i Wołyniu, stare dziady, których wszyscy wielce szanują. Ci, ślepi będąc, na lirach grają i pieśni rycerskie *cantant*, przez co animusz i czułość na sławę bardzo kwitnie. Żołnierz też tam widząc, że ci, co dziś żyją, jutro gniją, na żywot własny jakby na złamany grosz nie baczy, szafując krwią jako magnat złotem, i więcej o piękną śmierć niżli o życie lub dostatki dba doczesne. Inni, wojnę nad wszystko umiłowaawszy, choć nieraz z wielkiej krwi pochodząc, w ustawicznej żołnierce prawie dziczeją i na bitwę jakby właśnie na wesele z radością wielką i śpiewaniem idą; ale czasu pokoju przykrzą sobie wielce, nie znajdując zaś ujścia dla swych wojennych umorów, spokojności powszechnej zagrażają. Tych zowią straceńcami. Gdy człowiek tam zginie, wszyscy poczytują to za rzecz zwyczajną i nawet najbliżsi nie bardzo go płaczą, mówiąc, że lepiej przystoi mężowi na stepie niżli w łożnicy, jako niewieście, konać. Jakoż tam jest najlepsza rycerska szkoła i zaprawa. Gdy pułk jaki młody w stannicy rok albo i też dwa postoi, tak się jako turecka szabla wyostrzy, że potem ani rajtaria niemiecka, ani janczary furii jego w równej liczbie się nie ostoja, a cóż dopiero inny podlejszy żołnierz, jako na przykład wołoski, lub wszelaki najemnik. O zwadę tam łatwo i tej unikać należy, gdyż cała ziemia roi się mężami zbrojnymi. Jadąc z pachołkiem napotykaliliśmy to poczty dworskie, więc panów Potockich, Wiśniowieckich, Kisielów, Zbaraskich, Jazłowieckich i Kalinowskich w różnych czarnych, czerwonych i pstrych barwach, to wojska komputowe, to chorągwie królewskie. Konie owych żołnierzyków szły, po brzuchy w trawach prychając, jakoby płynęły we wodzie; rotmistrze oganiali chorągwie jako psy owczarskie stada, kozacy bili w kotły, dęli w surmy i piszczałki lub śpiewali pieśni, czyniąc gwar tak srogi, że bywało i przeszli, i zniknęli, a jeszcze wiatr niósł od ich strony rozhovor jakoby właśnie od burzy dalekiej. Między pułkami ciągnęły także maże czumackie skrzypiące przeraźliwie, od których konie nam się płoszyły. Czumakowie owi jedni sól z limanu nad Euksinem biorą, drudzy aż od Palus Meotis spomiędzy sprośnych pogan wracają lub z Moskwy, inni wino mołdawskie na Sicz wiozą, a żurawim ordynkiem jedni za drugimi ciągnąc, czasem łańcuch na milę w stepie tworzą. Napotykaliliśmy także tabuny wołów, wszystko jednej siwej maści, o wielkich porozginanych rogach. Te stłoczywszy się idą tak ciasno, iż kupę zbitą czynią i tylko łby rogate chwieją im się w obie strony. Za stannicą Kisielową zaszła nam drogę rota spod poważnego znaku usarskiego. Ludzie byli w pełnej zbroi i taki szum szedł od ich skrzydeł, jakby od orłowych. Oczuśmy obaj z wyrostkiem nie mogli od nich oderwać, choć i trudno było patrzeć, bo słońce na zbrojach okrutnym blaskiem raziło powieki, a ostrza u podniesionych w górę kopii błyskały jakoby płomyki jarzących świec pozawieszane w powietrzu. Ale serce nam rosło; usarze ci bowiem więcej byli podobni do roty królów niżli do żołnierzy, taka w nich *auctoritas* i taki majestat bojowy. Za stannicą kraj stał się głuchszy.

Często po stepie błyskały nocami ogniska gońców kozackich do różnych stannic rozsyłanych lub też chłopów na pustkowia uciekających. Nie zbliżaliśmy się do nich, własne mając zwyczaj niecić ognisko. Inni też czasem do nas przychodzili, bądź to zgłodnieli, bądź zabłąkani w stepie, a raz zbliżył się dziwny jakich człek z twarzą całkiem zarosłą i do wilczej pasz-

częki podobną. Ujrawszy go, pacholę krzyżeć od wielkiego strachu poczęło, a ja sam, sądząc mieć sprawę z wilkołakiem, sięgnąłem już po szablę, by go ściąć. Gdy jednakże owo monstrum miasto zawyć, pochwaliło Chrystusa, dałem mu spokój. Potem nieznamy opowiedział się Tatarem z pochodzenia, ale katolikiem, czemu się nawet dziwił, bo ci, co są w Litwie, Koranu się trzymają. Ów zaś dla żony wiarę zmienił, a później służąc jako vexillifer w swoim ściahu, dla znajomości tatarskiego języka z listami do ordy od hetmanów litewskich był wysyłany. Ale przecie pachółkowi markotno było z nim spać przy jednym ogniu. Częściej też noce spędzaliśmy samowtór, śpiąc albo i nie śpiąc, by na konie dawać baczenie. Nieraz układwszy się na trawie patrzyłem w gwiazdki migocące w niebiesiech, rozważając sobie w duchu, że ta, co najserdeczniej na mnie mruga, to właśnie moja Marysia. I *in luctu* miałem takową otuchę, że ona gwiazdka nigdy nie zaświeci innemu, ale wiary mnie dochowa, mając serce ućciwe i duszę tak czystą, jako kropla łzy wypłakanej w modlitwie przed Bogiem. Czasem przychodziła do mnie we śnie, właśnie jakoby żywa, a niejaki nocy przyszedłszy rzekła, iż się za mnie modli i że jako jaskółka za mną poleci przez niebieskie przestworza, a zmęczy się, to na mojej glewii spocznie, a wciąż świegotać będzie do nieba o sławę i szczęście dla mnie. Potem rozplynęła się w parę, ja zaś, gdy się zbudziłem, myślałem: anioł był koło mnie; a co mnie przy tym dziwiło, to że i konie strzygąc uszami prychały mocno, jakby czuły kogoś wedle siebie. Uważając takie zjawienie za znak łaski Bożej i za zachętę w imprezach, ślubowałem N. P. Marii i św. Aleksemu, memu patronowi, by łaskę ich i nadal zachować, nigdy grzechem śmiertelnym się nie zmazać. Modliłem się też onej nocy aż do świtania, czyli do pory odjazdu. Ruszaliśmy zwykle w dalszą drogę przed wschodem słońca, który to fenomen wcale w tamtych stronach piękniejszy jest niż u nas, bo gdy pierwsze promienie strzelą na równinę zroszoną chłodem nocy, to cały step dla mnogości kwiecica wygląda jakby bisior perłami tkany. Stąd radość jest wszelkiemu stworzeniu. Dopieroż kuropatki, przepiórki, pardwy i inni ptacy stepowi smyrzając w gąszczy strącają one perły na ziemię. Ptastwa moc jest nieprzebrana w tej krainie. Napotykalimy co dnia to dropie chytre, to żurawie misterne. Te siedząc na ziemi, wyciągnawszy szyje długie jakoby dzidy do góry, straż koło mogił w ordynku odprawują, gdy zaś po niebie z gęganiem okrutnym lecą, to tak wysoko, że ich okiem nie sięgnąć. Czumakowie wielce je szanują, bo w locie kształtem krzyż święty przypominają. Żołnierze też, licząc je szablami, szczęście sobie z ich liczby wróżyć zwykli, ale wedle mojego rozumu, to nie ma nic do rzeczy, bo co komu Pan Bóg w miłosierdziu swoim ma dać, to i tak da. Z innych ptaków są tu wrony, kruki, jastrzęby i orłowie, którzy pod zorzę wieczorną wielkie korowody nad mogiłami czynią, to siadając wieńcem na jakowej mogile, to zrywając się bez racji z łopotem i krakaniem tak ogromnym a żałośliwym, że uszy sobie zatykać trzeba. Zorze wieczorne czerwienią się tu mocniej niż u nas, a to z tego powodu, iż wiele krwi chrześcijańskiej rozlewają poganie, która to krew idzie do nieba i czerwieni się wołając o pomstę. Mogiły też tu, jak okiem sięgnąć, pokrywają całą krainę, a w nich leżą rycerze czekając dnia sądu. Inni wszakże twierdzą, że rycerstwo to śpi tylko, ale rozbudzi się, gdy wyprawa wszystkich królów chrześcijańskich na pogan zostanie otrąbiona – co czy prawdą jest, nie wiem, ale tak mniemam, iż może się zdarzyć, bo w mocy Bożej jest wszystko.

Ziemia to jest mężów walecznych, którą kopytami końskimi depcą Polacy, Kozaki i Tatarzy w ustawicznym harcu, jedni za drugimi zbrojnie się uganiając. A tak całe pokolenia, jak one figurki w papierowym zapustnym teatrum, ukazują się i nikną. Wielu tam także dobrej szlachty na zamieszkanie przychodzi i ci chłopcy z Korony lub też miejscowego uzbierawszy, całe osady zakładają; bo choć tam żywot pod ciągłą grozą wojenną wieść trzeba, przecie taką już dał Pan Bóg narodowi naszemu fantazję, że niebezpieczeństwa miasto go zrazić lepem mu są właśnie i ponętą. Jakoż gdy pacholę ślacheckie do lat dojdzie, trudno je w domu przy gospodarce albowi też na szkolnej ławie utrzymać, bo się jako białozór do lotu zrywa na kresy. Niejeden tam szyję traci, ale inny chudopacholek na pana wychodzi, jako już wielu wyszło, których dzieci na zamkach swoich żyją, poczty trzymają i senatorskie godności w Rzeczy-

spolitej piastują. Po Bożej też to jest myśli rycerskiemu człeku z roli i wojny na pana wyra- stać, a przy tym przez takie osadzanie stepu potęga Rzeczypospolitej się pomnaża. Z Mazu- rów, który to naród bardzo jest mnożny i tak się właśnie jako pszczoły w ulu roi, najwięcej tam ludzi przychodzi. Ci step pługami orzą i w rolników chętnie się zmieniają, a w czasie wojny kupą idą, jeden za drugiego zginąć gotowy...

Rozważając sprawy one bardzo się radował, bom zrozumiał, że albo w bitwie polegnę, na co ślachcic, żołnierz chrześcijański, zawsze *paratus* być winien – i wówczas koronę nie- bieską otrzymam – albo miłej ojczyźnie znaczne posługi oddawszy, ród mój do dawnego splendoru powrócę i ojców moich w niebie uraduję. Oni też do fortuny dochodzili nie fołdro- waniem po dworach ani krzykiem na sejmikach, ale krwią, życia fundamentem, a co dzierżyli, to od Rzeczypospolitej dzierżyli i dla niej też nie żalowali, jako J. W. dziad i J. W. ojciec mój, z których kaźden okrytą chorągiew na wojnę z bisurmany wystawił. Niech im za to Bóg da w niebie światłość wiekuistą, boć przystoi, aby fortuna, co z szabli przyszła, w szablę przetopio- na została. A mnie choć tam serce za Marysią boli i w trzosie wiatr świszczę, przecież dzie- dzicem jest sławnego imienia i wielkiej ambicji ślacheckiej, kwoli której po nocach jakoby trąby i głosy jakieś słyszę, co na mnie wołają: „Imię nieskalane zachowaj, ojcom dorównaj, złam się, nie zegnij!”. Ty, Boże, tak mnie błogosław, jako imię przechowam, ojcom dorów- nam i pierwej się złamię, niż zegnę.

I tom sobie także przed się zamierzył, że da-li mi Bóg szczęsnej chwili doczekać i po Ma- rysię jechać, to przyjadę, ale nie w drelichu, jeno w złotogłowi, i nie w podartej czapce, ale w piórach strusich, i nie z jednym pachółkiem, ale z poczem i buzdyganem w ręku, jako pa- niątko po panienkę, jako możny rycerz po senatorskie dziecko. A wtedy bez ujmy dla honoru rodu mego J. W. Tworzyańskiemu do nóg padnę, boć mu się nie jako panu o fortunę, ale jako ojcu o dzieweczkę pokłonię. W ubóstwie zaś zgłosić bym się po nią zaniechał, choćby mi się i dusza rozdarła, gdyż jeśli miłując ją, żonę moją pragnę z niej uczynić, to na to, by w dostatku przed jej kochanymi stopkami proch zdmuchiwać, nie zaś aby je miała bose na ciernistej dro- dze żywota zakrwawić.

Coraz lepsza otucha wstępowała mi w serce, w miarę jakeśmy się z pachółkiem głębiej w step zapuszczali. Jeno smętno tam było, bo pusto, ale tak przestrono, że człeku się zdaje, iż jest onym orłem albo jastrzębiem. Trawy coraz wyższe po bokach końskich ci się kładą, jakby cię ze czcią witały, i szelest wielki sprawując zdają się mówić: „Witaj, żołnierzyku Boży!”. Im dalej jednak, tym niebezpieczniej, bo Mohylna jest ostatnią strażnicą chrześcijańską, żoł- nierz też tam codziennie do Komunii Świętej przystępuje, aby być zawsze na śmierć goto- wym. Tatarzy to większymi oddziałami, to pojedynkiem ciągle się koło onej stannicy kręcą, choć, gdy ich większa liczba przychodzi, łatwo człek doświadczony pozna, albowiem nocami okrutnie wilcy za nimi wyją; gdy zaś kosz większy idzie, to całe stada za nim ciągną, wie- dząc, że na szlaku najdą dowolna ludzkiej i końskiej padliny. Inni mniemają wszakże, że be- stie te tatarskiego mięsa nie jedzą, przyjaciółmi Tatarów będąc, którzy dla swej drapieżności i szpetnego pogaństwa snadnie z dzikimi bestiami mogą być porównani.

Ale w tym myszkowaniu dziwne im się także trafiają przygody, bo gdy Kozacy obok cho- rągwi pancernejszej w stannicy stojący którego z nich ułowią, żadnego miłosierdzia nad nim nie mają i okrutnie nad nimi zbytkują. W nocy raz obaczywszy płomień wielki na stepie i ludzi koło niego, przybliżyłem się z pachółkiem, chcąc wiedzieć, co by byli za jedni, a gdyby Bóg zdarzył, to i kilka strzałeczek między nich wypuścić. Ale byli to właśnie Kozacy ze stannicy, którzy drzewo srogie na stepie zapaliwszy, powiązanych Tatarów żywcem w ogień rzucali, tak kaźdym jakoby worem rozmachując. Owi Ałły swego wzywali na próżno, od tych zaś, którzy się już piekli, swąd wielki rozchodził się po stepie, a Kozaczkowie, jako złe duchy w ogniu skacząc, oddawali się radości. Kazałem im zaraz tej swawoli poniechać i jeńców, jako się godzi, szablami po prostu pościnać, na co odrzekli: „Umykaj, aby znać i tobie tak nie by- ło!”. Dopiero poznawszy we mnie ślachcica pozdejmowali czapki, a dowiedziawszy się, że do

pułkownika pod znak jadę, wieść mnie do stannicy się podjęli. Jechaliśmy tedy przez resztę nocy kupą i bez przygody, a po drodze jeden jeszcze dziw widziałem. Oto pewne miejsce na stepie całkiem było świecącymi insektami pokryte, które koło św. Jana są i u nas, ale nie w takiej liczbie. Tam zaś, jak okiem sięgnąć, tak migotały wśród ciemności na trawie, że rzekł-byś: kawał nieba z gwiazdami jasnymi się oberwał i leży jak żyw na stepie. Świtaniem dopiero one gwiazdki świecić przestały, ale też i do stannicy nie było już daleko, jako i pianie kurów świadczyło, których wielką moc żołnierze, miłując ich wdzięczne śpiewanie, utrzymują. Wkrótce potem, gdy rozwidniło się jeszcze lepiej, ujrzelśmy przy zorzy kilkanaście żurawi studziennych, a wiatr przyniósł do nas szczekanie psów i rzenie koni. Bliżej też ostrokołów usłyszałem pieśń: *Salve ianua salutis*, która het po rosie się rozlegała, a była najgłośniejsza, bo ją trzystu towarzystwa klęcząc na majdanie pod gołym niebem śpiewało. Przyjechawszy udałem się zaraz do J. W. Piotra Koszczyca, możnego ślachcica z Litwy, który tam pułkownikował i był żołnierz doświadczony, bo w długiej żołnierce tak go pocięto, iż powiadano o nim, że mu poganie cały Alkoran szablami na gębie wypisali. Rycerz to był wszelkich fortelów świadom i wielce Rzeczypospolitej zasłużony. Ten jako jeszcze z ś. p. rodzicem moim miał znajomość, przyjął mnie zgoła jakby własnego syna i tegoż jeszcze dnia do znaku zapisał. Rzekli mi potem inni, iż w porę przybywam, gdyż wkrótce szarańcza od strony Krymu się wyroi. Jakoż dowiedziałem się, że groźby były wielkie i że po wszystkich stannicach granolarum, rycerstwo zaś w największej bacności było utrzymywane.

II

Szliśmy, jako zwyczajnie, kumunikiem, gdyż kosz w ten tylko sposób dopędzonym być może. Gdyśmy we trzy godzin po południu za małe wzgórza, które pogańskimi mogiłami zowią, się dostali, szczęśliwym dla nas zdarzeniem tumany, które całkiem od rana step zasłaniały, opadły nagle, przy samej ziemi się trzymając. A chociaż jeszcze kosza dojrzeć nie było można, przecie po gwarze i ryku bydła, który ze mgły wychodził, poznaliśmy, że stał niedaleko; Kozacy też wysłani na zwiady pod same wozy się podkradali i kilkunastu jeńców złapanych arkanami sprowadzili, ale tak srodze zbitych i poturbowanych, że choć zaraz na męki wzięci, *sanguinem* tylko, miast słów, *oribus* wyrzucali. Dowiedział się jednak od nich J. W. wojewoda, że to jest kosz największy, w którym brat chana osobą swoją się znajdował i wielu znacznych murzów; odliczywszy zaś tych Tatarów, którzy koni zapaśnych, wozów, jeńców i taboru pilnować muszą, ci, którzy do bitwy użyci być mogli, czterykroć tylko liczniejsi od naszych wojsk byli. Co usłyszawszy wojewoda zaraz począł nas na owych pagórkach do rozprawy szykować, nam zaś radość wielka wstąpiła w serce, albowiem widzieliśmy, że w tej proporcji i liczbie tylko czterykroć większej Tatarzy mocy naszej oprzeć się nie mogą; ponieważ zaś tabor, a zwłaszcza wielka ilość wołów powolnych utrudniała im ucieczkę, przeto już ujść przed naszymi szablami nie byli w stanie. Wiedzieli też i oni dobrze o nas i innej rady nie mając, także do bitwy po swojemu ustawiać się poczęli, cośmy zaraz poznali po odgłosie wielkiego bębna, który oni *balt* zowią i za święty poczytując, głosu jego we wszystkim słuchają. Wraz też i mgła poczęła rzednąć tak dalece, że coraz większą ilość buńczuków nad koszem się wznoszących oko dojrzeć mogło – a potem całkiem znikła. Wtedy ujrzeliśmy czarne mrowie pogaństwa, koń przy koniu i mąż przy mężu, kupą zbitą w kształcie sierpa stojących. Od której kupy zaraz harcownicy stadami poczęli się odrywać i latać na wszystkie strony. Inni tuż pod same chorągwie nasze podlatali łącząc nas, wrzeszcząc okrutnie, machając rękami i wyzywając tych, którzy by gonić się z nimi chcieli. Ale wojewoda Kozakom tylko wyjechać pozwolił, aby szyk przez ten czas do zupełnego ładu przywieść, co też i wprędce się stało, bo żołnierz po większej części był stary, doświadczony i sprawny bardzo. Stojąc więc w gotowości patrzyliśmy na harce i dziwne szarwarki Kozaków, którzy sobie najlepiej w pojedynkę z tym plugastwem radzić umieją. Goniono tedy na jeńca albo i na ostre, ale choć chcieliśmy bardzo wiedzieć, jak pierwszy trup głową padnie, nie można tego było rozpoznać, bo padło od razu kilka na wszystkie strony... Przywłókł też stary esauł kozacki jednego murzę, którego na arkan złapał, pod same nogi wojewody, ale już zaduszonego, bo go włócił z półtorej staj, przy czym i twarz mu się całkiem o osty stepowe podarła. Wzięliśmy jednak to sobie za dobrą wróżbę, a wojewoda, któremu też już pilno było, kazał w surmy i kotły uderzyć krzycząc: „Poczynać! Poczynać!”. Orda odpowiedziała wrzaskiem okrutnym, które to odgłosy słysząc, harcownicy zaraz umknęli z pola, na którym usaria miała teraz po staremu iść z całą nieprzyjacielską potęgą w zawód.

Wszystko wojsko stało, jako się rzekło, na wzgórzach, gotowe wraz zerwać się na nieprzyjaciela, ale podobało się fantazji J. W. wojewody, starym obyczajem, jedną chorągiew jako sokoła z obręczy naprzód puścić, aby ta łamiąc wszystko po drodze postrach i zamieszanie w szykach nieprzyjacielskich rozniosła. Widzieliśmy tedy tę chorągiew, idącą pod wodzą Babskiego, jak na dłoni, ile że spuszczać się z wolna po pochyłości przechodziła tuż koło nas. Ale gdy ukosem przeszli, konie wzięły już impet największy, aż ziemia gięła się pod nimi, usarze pochylili się w kulbakach i złożyli kopie. Powietrze warczało srodze, a wiaterek uderzył od nich na nas tak mocny, że aż pióra zatrzęsły się nam na szyszakach. Tak szli naprzód z szumem od skrzydeł i kitajek, właśnie jakoby burza, i znać było, że co im się oprze, to zetrą. Rotmistrze mieli rozkaz pomocy im żadnej nie dawać, póki by sobie sami gościńca na wylot przez pogan nie przebili. Patrzyliśmy na nich długo, bo ze dwie staje lecieli, a kurzawa, ile że

szli murawą, nie była wielka. Po naszych chorągwiach, które jeszcze stały, cichość zrobiła się taka, że słyhać było bzykanie much i bąków.

Każden tylko oczy za tamtymi wytrzeszczał, a czasem koń zarzał lub krew wietrząc szyję wyciągał i chrapy otworzywszy stękał żałością. W koszu między poganami zrobiło się wrzenie niemałe, a potem podnieśli krzyk: *Alla! Alla!*, i wnet chmara strzał jakoby ulewa lunęła na usarzy, dzwoniąc po pancerzach i harnaszach. Od nich też doszło wołanie: „Jezus! Maria!”, co było znakiem, iż wnet kopiami zderzą. Jakoż z pomocą Bożą dopadli i zderzyli z takim impetem, że pogaństwo rozwaliło się na dwie połowy jakoby drzewo klinem rozszczepione, oni zaś szli środkiem niby ulicą. Dopieroż ulica ta zawarła się z tyłu za nimi i mrowie pokryło ich zupełnie. Widzieliśmy tylko straszne kotłowanie, a czasem koncerz błysnął, a czasem, gdy koń wspiął się pod mężem, ramię zbrojne, to znów proporczyk podleciał w górę, jako ptak, i spadł na dół. Z majdanu, gdzie nie było darni, wstała straszna kurzawa, a w niej kłębiło się i wrzało. Huk samopałów, wrzask okrutny i krzyki uszy nam prawie rozdzierały. U nas też szmery poczęły chodzić przez całe chorągwie, bo trudno było ustać na miejscu. Rwali się ludzie, a konie osadzały się na zadach. Poczęto mówić litanię za konających, gdy wtem wyrostek pewien ślachecki zamiast: „Zmiłuj się nad nimi!” krzyknął: „Widzę jeszcze proporce!”. Wtedy żołnierze jednym głosem wołać zaczęli, by im też skoczyć za tamtymi było dozwolono. Zapał wielki i niepowstrzymany ogarnął całe szyki. Niektórym skry szły z oczu, inni od ochoty na krew pogańską tak się właśnie jako panny płonili; inni, młodszy, śluzę obfite roniąc i ręce ku niebu wyciągając, powtarzali: „Puśćcie, abyśmy braciom naszym na ratunek iść mogli!”. Ale pułkownik ciszę wielką groźnie nakazawszy rzekł, „iż nie przystoi rycerstwu, jako byle jakiej milicji, bez komendy uderzać i zbytnim łakomstwem cierpliwości rycerskiej kazić, co jeśliby który uczynił, końmi włóczony będzie”. Patrzyliśmy więc znów w milczeniu na onych ginących i na cały kosz, który się jako olbrzymi wąż zeleżce w brzuchu mający poruszał i wił z boleści, pragnąc zdusić onę chorągiew, która w nim już tkwiła.

Tymczasem słońce zaszło i zorze rozpały się na niebie. Ale znać na komendę nie trzeba już było długo czekać, bo nagle druga chorągiew stoczyła się za pierwszą, niosąc zniszczenie, za nią trzecia i czwarta. Pod nawałą mężów zbrojnych i koni począł się kosz kolebać i widać było, że bezecny Mahomet runie w proch u stóp przeczystej Marii. Wtem armata, której sześć sztuk nadciągnęło właśnie za nami, zagrała z majestatem i powagą wielką, łamiąc kulami końce kosza. Rotmistrze u nas poczęli starym obyczajem rękawy zawijać i buzdyanami groźnie potrząsać. Kolera bojowa uderzyła nam do głowy jakoby wino. Jaki taki wykrzyknął imię swego patrona, więc słyszałeś ustawnie: „Święty Pietrze!... Święty Janie!... Święty Macieju!...” – a jaki taki, świętych poniechawszy, wołał: „Bij, morduj!”. Ja, grzeszny sługa Boży, akt strzelisty odmawiać począłem, a gdy go skończył i ku Marii myśl się podniosła, to cud stał się nade mną, bo nagle jaskółeczka jakowaś nad sterczącymi glewiami kółkiem się zakręciwszy, nagle na mojej usiadła i trzepocąc skrzydełkami jąła powtarzać „ciwit! ciwit!”, jakoby się za mnie modliła. Więc zaraz moc jakaś weszła w kości moje, aż włosy zjeżyły mi się pod hełmem. A wtem i czas nadszedł. Od wojewody przypadł służbowy i buńczukiem machnął, wnet rotmistrze do szeregów przypadli, pułkownik krzyknął: „Bij psubraty, w imię Boże!”. Konie osadziły się na zadach i powietrze zaświstało nam w uszach.

Wsparliśmy też okrutnie pogan, którzy powstrzymać nas nie mogąc, jako kłós zżęty pod kopyta końskie padali. Przewracaliśmy po drodze ludzi, konie, namioty, ostrokoły. Trzask łamanych kopii huczenie armat zgłuszył. Konie kwiczały w ciżbie. Po skruszeniu kopii, gdy nowe ćmy nas opadły, poszło na szable i koncerze. Niejeden odłamkiem glewii grzmocił lub pięścią zbrojną duszę z ciała wypędzał. Pióra usarskie ze skrzydeł i hełmów tysiącem wzbily się w powietrze. Gorąco od stłoczenia ludzi i koni zatykało dech w gardzieli. Dopieroż poszły wrzaski ochryple, jęk tratowanych ludzi, pisk, świst szabel i strzał. Opór poganie dawali okrutny, ale już słabli, coraz gęstszym trupem padając i terror jął ich ogarniać. W zgiełku i zaślepieniu nie wiedzieli, gdzie uciekać, wyjąc więc i rękoma głowy osłaniając, pod cięciami

mieczów marli. Konie z jeźdźcami, przez furją zdruzgotane, stopy drgające potworzyły, a my po ciałach onych i krwawej oślizgłości, siekąc, szliśmy przez tłumy ku wozom, skąd lament jeńców pobranych, płacz przeraźliwy niewiast i wołanie ku niebu się rozlegało. Rzeź trwała już w ciemności, póki nie błysnęła luna od wozów, gdy je kozactwo zapaliło. Dym i skry buchały kłębami, a w tych skrach i dymie bydło w taborze żalosnym rykiem napełniło powietrze; potem zasię tabor rozerwawszy, woły, owce, kozy, konie bez jeźdźców i wielbłądy zdziwczale ze strachu rozbiegły się jako uragan po stepie. Przy wozach największe powstało zamieszanie. Jedni łup w zgiełku brali, drudzy pęta jeńcom cięli, którzy ręce wolne poczuwszy łamali palące się wozy i żagwiami gromili nieprzyjaciół. Szlochanie niewiast wściekłość tym większą w żołnierzach wzbudziło, więc i ci, którzy padając na twarz ręce ku pętom wyciągali, pod mieczem marli. Znaczne oddziały, które z taboru wyrwać się nie mogły, choć o miłosierdzie wyły, w pień wycięto. Za tymi, które wymknęły się z pogromu, pogoń poszła, a z nią i ja skoczyłem. Przed jednym uciekały całe tłumy, ręka od cięć mdlała, konie we krwi się ślizgały, dech ustawał w piersiach końskich. W ciemności cięto na oślep. Aż koń pode mną pyśkiem krew wyrzuciwszy padł na murawę, a wraz i mnie jakoby sen zaczął ogarniać, bo mi z ran krew ciurkiem uchodziła. Siadłszy chciałem się Bogu albo Najświętszej Pannie polecić, gdy wtem step zakręcił się ze mną, *lucida sidera* podskoczyły na niebie i zemdlałem.

III

...Poganin, wedle języka naszego, jest jak gdyby bydlę albo pies nieczysty, albowiem co jest nieczystego u ludzi, to i Bogu niemiło. A choć się bisurmanie lepszymi od chrześcijan powiadają, przecie w głębi sumienia sami o swej nieczystości wiedzą i gorliwie zmyć one pragną, siedm razy na dzień wodą swe członki oblewając, czego by przedsię czynić nie potrzebowali, gdyby zatwardziałość ich w grzechu mniejszą była. U żadnego też narodu niewola tak ciężką nie jest, a to dla ich okrucieństwa i z tej przyczyny, że kościołów i księży chrześcijańskich u nich nie ma; gdy więc któremu z jeńców w grzech śmiertelny popaść przychodzi, ten w chwili śmierci nie mogąc dostać rozgrzeszenia potępionym snadnie być może. Z jeńcami srodze się też obchodzą, co się i z przygód moich pokaże. Mają oni jedno święto, zwane Bimek-bairon, przed którym to czasem post miesiąc cały zachowują. Mahomet też, prorok ich, aby bezecność swoją pozorami justycji koloryzować, kazał im dnia tego niewolnikom zmniejszyć lata niewoli, wysłużonym swobodę dawać, wszystkim zaś wyznaczać, do jakowego terminu służyć mają i obietnic pod przysięgą dotrzymywać. A mają się te przysięgi odprawować we dwie godzin po północy, gdy ksiądz ich na wieże alboli tam, gdzie wieży nie ma, na wzgórze wejdzie i pocznie, palce w uszy włożywszy, wołać: *Lai Lacha i Lalach Mahomed Rossulach esse de Miellai, Lala i Lalach!* Przysięgają więc wtedy na książeczki zwane Hamaeli, na których szabla Alego, Mahometowego pomocnika, u spodu jest wyobrażona, którą Delfikari zowią. Komu tedy na tę książeczkę przysięgną, bez pochyby przysięgę zdzierzą, ale tak są w oszukaństwie zaprawni, że nie tylko niewolników, ale i Boga swego oszukują, przysięgając na książeczki, które z mydła weneckiego *efficiuntur*. Taką przysięgę, mówią, pierwszy deszcz rozpuszcza i dlatego nic słowom ich wierzyć nie można.

Jeńców do Azji, która zgoła jest inną częścią świata, sprzedają; pozostałym trzód strzec kazań, do robót ich używają, surowcem z byczej skóry biją i głodem morzą. Sami próżnowanie umiłowawszy, ledwo się do obmywania podnoszą, a przez resztę dnia na czerepach końskich pokrytych kobiercami siedzą i ręce bezczynnie na brzuchu trzymają, co najwięcej to się w prawo i w lewo kiwając. Na muzykę tylko bardzo są łakomi i głosu piszczałek po całych dniach słuchać zwykli. Tych po dwie w gębę włożywszy, palcami na nich jako na fletni przebieierają. Prócz tego mają też multanki, kotły końską skórą obciągnięte, cymbały tudzież krążki miedziane, wielki brzęk czyniące, i kije długie, grzywą zdobne a dzwoneczkami okryte. Gdy na tych wszystkich instrumentach grać poczną, taki stąd powstaje harmider, że psi wyją, oni zaś ciesząc się mówią, iż i ich uszom słodycz stąd przychodzi i choroby różne przed owymi głosami precz od nich umykają. Pijaństwo jest u nich wielkie, bo choć wina pić im nie wolno, przecie się kobyliłm skisłym mlekiem zalewają, które gorzej niżli wino do głowy idzie. A wtedy źli są i okrutni, tak że jeńców zabijają, mękami ich wpoprzd zmorzywszy. Z chrześcijańskich narodów Genuńczykowie i Weneccjanie z nimi handlują, do różnych miast, które jeszcze starożytni, *scilicet Graeci* budowali, na nawach swych przybijając. Ci im nad wszystko lampki pergaminowe różnych kolorów przywożą, które oni, łojem baranim napuściwszy i świeczki w środek zapalone włożywszy, na grobach i kościołach swych w nieskończonej liczbie wieszają i wonnościami kadzą. Od onych świateł białych, różowych, zielonych i modrych, jakoby w powietrzu nocą wiszących, cudny jest widok, który każde oczy mógłby uradować, gdyby na chwałę Bożą był obrócony.

Ale oni właśnie wtedy sprośności dopuszczają się największych. Księża ich są zarazem czarownikami i ze złymi duchami w komitywę wchodzą. Gdy wyprawa wyjdzie na rabunek, oni to noce ciemne czynią, a dniem mgły wielkie podnoszą, aby kosz przed pogonią mógł ująć bezpiecznie. Ludu na Perekopie i w całym Chersonesie nie masz tyle, ile w Rzeczypospolitej mniemają, ale co jest, to wszystko do wojny się używa, nie zaś ze stanu tylko szlacheckiego. Na głód, chłód i trudy bardzo są wytrzymali, bo z młodu goło chodzą, od czego też skóra staje się na nich czarna. W bitwie jednak zbrojnym mężom dostać nie umieją, z której to przyczyny

wojna ich na fortelach więcej niżli na męstwie polega i na tym, by napaść, złupić i co prędzej uciekać. Szczególniej na widok pancernych serce tracą, mówiąc, że nawet i w czarach nie ma sposobu, aby się ich impetowi oprzeć. Każda też chorągiew usarska napsuje ich w bitwie cztery i pięć razy tyle, ile sama liczy towarzyszków. Niewoli u Kozaków gorzej śmierci nie pragną; ale potykać im się z nimi łatwiej. Tak też mniemam, że Rzeczypospolita, gdyby chciała, mogłaby snadnie cały Krym zawojować z Wenecją w przymierze wszedłszy, która by floty swoje na Pontus Euxinus wysłała, aby tureckich z pomocą nie dopuścić. Ale ponoć są u nas i tacy, którzy harce na stepie więcej niżli bezpieczeństwo Rzplitej ceniąc, nie radzi by, by się to stać miało. Tych, Boże, w ich ślepotcie oświeć...

Żywot Tatarów i obyczaj bydlęcy jest i przy swojej gospodarce, albo raczej próżnowaniu, z głodu by im umierać przyszło, gdyby nie rabunek, który im bogactw wielkich dostarcza. Temu to bogactwa owe zawdzięczają, które u nich widziałem, jako to: niezliczone trzody bydła, kóz płochych, koni ścigłych, wielbłądów byle co jedzących i owiec tłustych. Inny też pod namiotami albo w kamiennym rozwalonym ałusie trzyma złotogłów, pasy, rzędy końskie, kielichy, kobierce, broń sadzoną, korzenie i wonności, a wszystko bez ładu na kupę nałożone. Z których to skarbów nijakiego pożytku nie mają bojąc się, by z nich chanowi lub Turkom, którym są podlegli, płacić nie przyszło. Sami w tołubach baranich, wełną do góry, chodzą. Ale co któren ma, to chowa i bogatym się powiada, od czego inni też go szanują. O miastach, które by sami zbudowali, nie słyszałem, a te, co są, to z dawnych czasów pochodzą; Chersonesus bowiem drzewiej bardzo był zamieszkały, dopóki osad mieszkańców tamtejszych różni poganie nie starli; kilka jednak miast zostało dosyć ogromnych i bardzo pięknych, ale oni i w nich barbarzyński żywot, jakoby w niechlujnych koczowiskach, pędzą. Mnie zaś z wielą innymi zaprowadzili do pewnej osady, Kizlich zwanej, nad sam brzeg morski, gdzie strumień słony i mały *ad mare profundum* się sączy. Domy są tam budowane z ruin jakiegoś miasta, które, jak twierdzą, jeszcze Sauromati zburzyli. Ale kilka budowli jest bardzo pięknych, choć znacznie pokruszonych, które dawniej świątyniami były, dziś zaś Tatarowie do nich owce i konie na noc zaganiają, jedną tylko w minaret obróciwszy. Z ziemi także wykopują czasem kamienne figury, tak misternie rzeźbione jakoby żywe. Tym dzieci tatarskie na głowach siadają lub kamieniami członki tłuką. Za mną też dzieciaki owe gruzem i nieczystością rzuciły wołając: *gaur! gaur!* Ale znosiłem to cierpliwie, zwłaszcza iż Aga Sulejman, jakoby po naszymu rzec: Salomon, miasta tego *praefectus*, który mnie omdlałego znalazł i pojmał, z początku przystojnie się ze mną obchodził. Czynił to dlatego, iż zbroję piękną i szablę sadzoną na mnie wzięwszy, za znacznego w narodzie naszym mnie poczytał i okupu się wielkiego spodziewał. Ja zaś bacząc, że szlachcicowi nawet i w niewoli, i przed nieprzyjacielem zmyślać nie przystoi, wręczem mu to negowałem. Rzekłem więc, że jakkolwiek z przedniego rodu pochodzę, przecie fortuny żadnej nie posiadam i z okupem nikt po mnie jechał nie będzie. Czemu on w chytrności swej nie wierząc, tak do mnie po rusku mówił: „Ej, wy Lachowie! Każden z was się chudopachołkiem powiada i okupu nie zaręcza, by was katować, za co sobie rozkoszy wielkie od waszego Boga w niebie obiecujecie!”. Owo więc i do Azji, jako wielu innych, mnie nie sprzedał i prawie wolność mając zupełną, co dzień nad brzeg chodziłem. Tam *in rupibus* siadłszy, wpatrywałem się w dalekość morską jako turkus błękitną i myślałem wodze puszczałem. Często też rzewnie płakałem, bom rozumiał dobrze, że dola moja zamknięta już jest i przez nieszczęście przypieczętowana, ani bowiem o posługach rycerskich dla miłej ojczyzny, ani o sławie, ani o Marysi myśleć nie mogłem. Przeto smutki ogarnęły mi duszę i cierpienie toczyło serce i okrutna tęsknota wychodziła ze mnie ku Rzeczypospolitej i ku wszystkiemu, com w niej utracił. Wolej bym był na świat nie przychodził, wolej w bitwie zginął, wolej by mnie Sulejman od razu na męki wydał, bo przynajmniej palmę bym otrzymał i dusznymi oczyma ujrzał to, po czym cielesne tęskniły. W boleści kończę boleści nie widział. Co piątku, który to dzień u Tatarów jest niedzielą, gdy inni jeńcowie wypoczynek od pracy i mąk mieli, siadaliśmy przy strumieniu, w płakaniu sobie wzajem pomagając, a często

śpiewaliśmy psalm: *Super flumina Babylonis*. Tak nam dzień schodził na rozpamiętywaniu i rozmowach o ojczyźnie, z których duszom pociecha była niemała. Zdarzyło się przy tym, iż między jeńcami, którzy w Kizlich jarzmo niewoli dźwigali, sam jeden szlachcicem byłem; przeto rząd nad nimi niejako sprawując, ukrzepiałem ich dusze, by nie znalazł się taki, który by odstąpieniem od wiary prawdziwej niedolę swą okupić pragnął.

Jakoż Bóg tego nie dopuścił. Mając też u Tatarów dla spodziewanego okupu powagę, ulgi niejakiem innym jeńcom przynosić usiłowałem. Czasem tedy część strawy swej najgodniejszym udało mi się oddać, czasem w robocie pomagałem, wody spragnionym przynosiłem, za ujmę sobie tego nie poczytując, gdyż jeśli Pan Jezus prostych ludzi w urodzeniu i krwi upośledził, przecież koronę w niebie im obiecał, a przez to ich młodszymi braćmi naszymi stworzył, którym od stanu rycerskiego należy się obrona i opieka. Oni też z pokorą całowali moje ręce, chociażem im mówił, że niewolnikiem tylko na równi z nimi jestem i że godzina taka może nadejść, w której mnie w większej jeszcze nędzy i upodleniu, niż sami są teraz, oglądać będą. Czemu nie chcieli dać wiary, mówiąc: „Dla Boga! nie może to być!”. Ale ja wiedział, że będzie, gdy Sulejmanowi na okup sprzykrzy się czekać daremnie, i gotowałem się na wszystko najgorsze, co ciało spotkać mogło, gdyż dusza, utraciwszy szczęście, była już w męce i boleści.

Jakoż Sulejman jednego dnia przyszedł do mnie i mówił: „Źle czynisz, iż za łaskawość moją niewdzięcznością się wypłacasz, gdyż jako gościa cię traktuję, a ty snadź w uporze trwasz; bacz tedy, abym cię pod kolana moje nie zgiął”. A tu wraz zamysły swoje objawił i żądał, bym do Rzplitej o tysiąc czerwonych złotych pisał, za które bym wolność mógł otrzymać. Czego ja uczynić nie mogłem, a to raz, iż tylko trzysta czerwonych złotych miałem, do których niewiele co z prowizji przyrosło; po wtóre bałem się, aby J. W. Tworzyański *magnanimitate sua* z własnej szkatuły za mnie płacić nie chciał, co by ambicji mojej przeciwnym było. Gdy jednak Pan spuścił strach w kości moje przed gniewem Sulejmana, rzekłem mu, aby chwile męki odwlec, iż woli jego posłusznym być muszę. Jakoż dałem mu list, ale do jednego proboszcza, którego pod Kamieńcem miałem znajomym. Temu niewolę moją opisawszy prosiłem, aby modlił się o wspomóżenie dla mnie, które tylko z niebios przyjsć mogło. Uradowany w chciwości swej Sulejman pismo owo przez Tatarów idących na jarmark do Suczawy wyprawił, dokąd także dworzanie od magnatów naszych po bakalie wyprawiani bywają. Sam zaś łaskawszym się jeszcze na mnie uczynił i do ałusu swego, które w całym mieście najpiękniejszym był, mnie zaprosił. Był to zaś możny poganin i w narodzie swym bardzo poważany, tak dla swego męstwa, jak i dla fortuny, która w jednym tylko go upośledziła, a to iż z wielu żon żadnego syna nie spłodził, a córek pięć. Najstarszą z nich, Iłę, wielce dla jej urody miłował. Przyszło mi ją często widywać, albowiem Tatarowie nie trzymają niewiast swych, tak jak Turcy, w zamknięciu, ani też oblicza im pokrywać nie każą. Która też do stołu przychodziła, z początku ze strachem na mnie i ciekawością jakby właśnie na jakoweś monstrum spoglądając. Potem zaś, gdy przyrodzona jej dzikość poskromioną została, często nie rzekłszy ni słowa buklę ze skisłym mlekiem ku wargom moim pochyliła lub gałkę z ryżu i baraniego łoju ukręciwszy, w gębę mi takową na znak swej przychylności kładła. Czemu Sulejman nie tylko się nie przeciwiał, ale i sam to czynił, gdyż obcując ze mną co dzień, wielce mnie polubił i częstokroć do porzucenia smutków namawiał. Przeze mnie też i innym jeńcom lepiej się działo, albowiem Iła wszelkiej żywności obficie im dostarczała.

Z takowej przyczyny oni pokochali ją i gdy wedle cysterny przechodziła, całowali szaty jej, orędowniczką swoją ją zowiąc. Poganka też owa nie tylko gładkie oblicze, ale i miłosierne serce miała, tak iż nieraz żal się robiło pomyśleć, że dla błędów wiary swej zgoła potępioną być musi. Ku mnie zaś coraz więcej serca okazywała. Bywało, siadłszy skulona w kącie ałusu i tyftykiem się z głową owinąwszy, po całych godzinach na mnie w milczeniu, jako kot, jarrzącymi oczyma spoglądała. Spytałem ją tedy raz, czego się tak we mnie wpatruje, ona zaś rękę na czole, na wargach i na piersi położywszy, do nóg się moich pochyliła i rzekła: „Bak-

czy, niewolnicą twoją być pragnę”. I wraz uciekła, a mnie tymczasem żądy grzeszne opadły, od których w żarliwej modlitwie obrony szukać musiałem. Tego jednak jeszcze dnia przyszedł do mnie Sulejman i tak się ozwał: „Zwiodłeś mnie listem swoim, za co powinien bym cię katować, gdy jednak Allach synami mnie nie pobłogosławił, nad młodością i urodą twoją litość mam. Przeto ci powiem, iż jeśli błędy wiary swej porzucisz i proroka naszego przyjmiesz, Iłłę, która cię miłuje, dam ci, synem cię swoim uczynię i wszystko, co mam, twoje będzie”. Więc od wielkiego zdumienia pary zrazu z ust puścić nie mogłem, ale ochłonawszy odrzekłem mu, iż szatan Chrystusa kusił, królestwa mu różne z góry ukazując.

Rozgniewany tymi słowy, ryknął jakoby zwierzę dziki; zaraz szaty, jakie na sobie miałem, zwlec mi kazał i wyszedł. Co gdym uczynił, symarę zgrzebną mi niewolnik Kałmuk przyniósł i wodę trzodom groźnie nosić polecił. A tak pamiętam, iż było to w poniedziałek, gdym do posług onych wziąć się musiał. Chodziłem w górę do strumienia, który u morza był słony, ze skórzanymi workami i tam wodę czerpiąc do cysterny kamiennej ją wlewałem. Tatarki, które prać chusty do strumienia także chodziły, poszczyły mnie psami. Wieczorem nie poszedłem jako poprzednio do ałusu, ale spać się między wielbładami układałem, a żem się uznoił, Bóg mi sen zaraz zesłał. Nagle, zbudziwszy się, jakowąś figurę wiotką ku mnie w świetle miesiąca idącą spostrzegłem. Przeżegnałem się myśląc, iż ducha widzę, ale to była Iłła, która naczynia z wodą i oliwą niosła. Potem nogi moje obmywszy i namaściwszy, wpodłe mnie w kuczki siadła, po dawnemu w milczeniu mi się przypatrując, z oczu zaś jej wielkie, srebrne krople spływały. Rzekłem tedy: „Iłło, czemuś przyszła?”. Ona zaś poczęła szemrać cicho, miesiącowi źrenice swe mokre oddając: „Bakczy, czemu mną pogardziłeś?”. I od płakania więcej mówić nie mogła. Wówczas poruszyło się we mnie ku niej serce i chciałem ją do łona mego garnąć, ale zaraz Marysia bieluchna stanęła przede mną i grzeszna myśl precz odleciała. Rzekłem więc, że mężem jej, choćby dla jej wiary, być nie mogę, która w oczach moich tym jest dla duszy ludzkiej, czym plugawa rdza na żelazie; ale więcej jej dać mogę niżli wszystko, co od ludzi spotkać ją mogło, a to chrzest święty, którego ją z grzechu pierwotnego obmyje i zbawienie jej zapewni. Ona jednak, w ślepotę swą przejrzeć nie mogąc, z desperacją wielką za głowę się rękoma ułapiwszy, jak przyszła, tak i odeszła. Na drugi dzień powróciłem do swojej pracy, która tym cięższą była, że jeść skąpo mnie dawali. Napotkałem też i Sulejmana. Ten rzekł: „Zegnę cię”. Na co odpowiedziałem: „Ciało moje tylko zegniesz, gdyż wiedz, że duszę, ślachcicem będąc, mam nieugiętą”. Co usłyszawszy, ze zgrzytaniem zębów się oddalił. Tak mnie Bóg skarał za ów symulowany list, bo gdybym go nie pisał, nie byłbym tak srodze Sulejmana, odrzuciwszy jego córkę, przeciw sobie podniecił.

W piątek przyszli jako zwykle niewolnicy rozmyślać, smutne pieśni śpiewać i rany myć. Ujrawszy mnie w moim upodleniu, z rzewliwym płaczem do nóg mi przypadli krzyżując: „Majestat pański został pohańbiony!”. Alem ja tak nie mniemał, gdyż Chrystus, choć z królewskiego rodu będąc, większą jeszcze poniewierkę cierpiał, chcąc przez to stanowi ślacheckiemu okazać, że godność krwi zacnej nie cierpieniem, jedno strachem przed cierpieniem się kała. Jeńcowie zaś wiedząc o kondycjach, jakie mnie Sulejman dawał, wołali: „Udaj, panie, że proroka przyjmujesz, co jeśli pozorne będzie, duszy swej nie zgubisz, a tak synem możnego Sulejmana zostawszy i sobie, i nam ulgę przyniesiesz, bo twoimi niewolnikami będziemy”. Wtedy rzekłem im, iż gdy tak radzą, psom bliskimi być muszą, albowiem szczekaniem przeciw Bogu gęby swe plugawią, nie rozumiejąc, że nie godzi się bić choćby pozornie pokłonów przed fałszywymi proroki. Na to rzekli: „Głowy my tu wszyscy położymy” – i w desperacji trwali, Bóg bowiem nieurodzonym ludziom odmówił honoru i baczniejszymi ich na wygody doczesne uczynił...

Usłyszawszy o tym *praefectus* Sulejman bardzo się rozgniewał i głodem zgiąć mnie postanowił. Zabić bowiem ani sprzedać mnie nie chciał, bo mnie sam dawniej miłował i dla Iłły tego uczynić nie mógł, która, jako się później dowiedziałem, gdy się przeciw szyi mej odgrażał, szat jego z wielkimi prośbami się czepiała, w tej nadziei ojca utrzymując, iż umysł mój

kwoli ich chęciom wkrótce się zmieni. Przyszły tedy na mnie czasy wielkich utrapień i przewidywana godzina męki wybiła. Ale gdym pomyślał o ojcach moich, o sławie i o nieskazitelności imienia, które mnie zostawili, moc wielka wstąpiła w serce moje. Jedno więc o tym myślałem, by ślacheckiemu stanowi, którego *dignitatem* w sobie nosiłem i którego jest Rzeczypospolitej fundamentem, czymkolwiek w niewoli swej hańby nie przynieść. Rzekł mi Sulejman, chcąc, abym się zhańbił: „Z psami wolno ci jadać i to, co im rzuca, brać możesz”. Nie chcąc, aby się to stało, żywiłem się tylko szarańczą, którą na piaskach morskich znajdowałem. Często też z początku żywność przy mnie przez jakąś niewidomą rękę kładziona była, w czym domyślałem się Iłły. Ale później strzeżono jej, aby tego czynić nie mogła. Inne zaś czarownice tatarskie nie tylko że miłosierdzia nade mną nie miały, ale raz zbiły mnie kijankami tak, iż całe moje ciało sine było. Jeśli więc szarańczy zbrakło, głód cierpiałem. Czasem mi także niewolnicy figi po tatarskich ogrodach zbierane przynosili, ale gdym ujrzał, iż chłosty za to otrzymują, kazałem im tego poniechać. Spoglądali na mnie ze łzami, powtarzając: „Panie nasz, na co ci przyszło!”. Niewola też nie tylko moja, ale wszystkich sroższą się stała, gdyż Tatarowie wielką złością ku nam zapłonęli. Jeden zasię Kozak niebożatko, imieniem Fedko, na pal był wbity, na którym drugiego dnia dopiero, powtarzając: Chrystu! Chrystu! – umarł. Nocą zdjawszy go z pala pogrzebaliśmy ciało w piaskach morskich, o śmierć równie piękną Boga prosząc, za którą Fedko pewnie w niebie przez Ojca Przedwiecznego był nobilitowany i purpurą okryty, i do chwały najwyższej wyniesiony.

Rychło i ja już z ziemską powłoką moją rozstać się myślałem, albowiem miesiąc upłynął, jak się szarańczą żywiłem, która coraz rzadszą w piaskach była. Wychudłem i szerniałem srodze, i nogi chwiały się już pode mną. Wory, gdym je w strumieniu napełnił, dźwigałem z jęczeniem, aż wreszcie na barłogu podle zagrody dla wielbłądów siadłszy, ruszać się więcej nie mogłem. To one bestie, serca lepsze od pogan mając, wyciągały do mnie szyje swe zgięte przez płot i prychając nozdrzami, litowały się nade mną. Wszelako raz w nocy na wpół we śnie znowu Iłłę widziałem, która wody i jedzenia mi przyniosła. Dla osłabienia wielkiego sypiałem i we dnie, a Bóg w miłosierdziu swym sny mnie o miłej ojczyźnie zsyłał i Marysia przychodziła do mnie także, cała w bieli i z anielskimi skrzydłami na plecach, którymi od spiekoty głowę moją osłaniała. Ona przychodziła zawsze w południe, w skwar wielki, a nad wieczorami, gdym bywał najślabszy, słyszałem różne śpiewania z nieba dochodzące. Podobno czas jakiś byłem bez przytomności, bom świata ziemskiego nie widział, ale potem zdrowie wróciło, gdyż ujrzałem znów kupę barłogu, zagrodzenie dla wielbłądów i głowy onych zwierząt ku niebu powyginane. Pewnego razu Sulejman przechodząc koło mnie rzekł: „Poznaj moc sług proroka!” – na co odpowiedziałem: „Poznaj cierpliwość sługi Chrystusa”.

Tymczasem nadeszło drugie święto: Czaczuk-bairon. Tatarowie, gdy noc zapadła, zapalali owe wspomniane lampki weneckie, którymi całe miasto ozdobili; potem łuczywo kaźden w rękę dzierżąc na drogi wyszli i gromadami chodzili. A było to w pełni samą. Więc oni ku miesiącowi oczy zwróciwszy wołali wielkimi głosami do swego Boga i do swego proroka, bo taki u nich obyczaj, by przez całą noc chodzić i modlić się. Jałmużny wielkie też dnia tego czynią; więc niewolnicy usiedli także rzędami wedle drogi i o co który prosił z żywności albo szat, to i otrzymał. Innym także lata służby zmniejszili, a niejakiego esaulę, którego z wody tatarskie dziecko wyciągnął, wolnością obdarowali, bo mało co im się godzi w ten dzień odmawiać. Z tego powodu radość wielka między niewolnikami była, gdyż żaden głodu nie cierpiał ani plag nie otrzymał, ani śmiercią był karany. Sulejman przechodził koło barłogu, na którym leżałem, a wedle niego szła Iłła, ale bardzo dumnie, gdyż wcale na mnie nie spojrziała. Wszelako placek jęczmienny z kosza wzięwszy rzuciła mi go, w inną stronę spoglądając, która w pobliżu siedzący niewolnik Kałmuk porwał. Sulejman zaś myślał, iż razem z innymi będę zebrał i byłby mi wówczas nie odmówił. Ale choć z dawna nic już w gębę nie brałem, nie zdało mi się rzeczą godną ślachcica na równi z pospólstwem ręce wyciągać i wołałem głód, co mi szarpał wnętrzności, powietrzem tłumić. Mówił tedy Sulejman do innych: „Za-

prawdę, żelazną duszę ma ten nieużyty człowiek i znać, trzeba by go prosić, aby nad sobą miał litość, gdyż pychę swą nad wszystko przekłada”. I nie wiedział o tym poganin, że wtedy właśnie dusza moja w prochu i osłabieniu największym kładła się przed Panem, bo męka była prawie ode mnie silniejsza. W nocy jednak ktoś znowu żywność koło mnie położył, którą chciwie zjadłszy poczułem się mocniejszy. Zwlokłem się zaraz z barłogu i choć ręce i nogi mi drżały, począłem na nowo nosić wodę do cysterny. Szarańczy też Bóg przez dni następne zesłał obfitość, a przy tym głód mnie przyuczył jeść plugastwo morskie, które w kształcie swym szpetne, złe przecie nie jest. Żyłem tedy jako ptak z dnia na dzień, a gdym po brzegu morskim chodził, każda fala przynosiła do nóg moich one ślimaczki marne, tak nimi jakby orzeszkami grzechocząc.

Noce poczęły być chłodne bardzo. Innym niewolnikom w ałusach chronić się dozwolono, ja zaś na moim barłogu sypiać musiałem, ale litościwe wielbłądy kładły się koło mnie, ciałami swymi i oddychaniem mnie rozgrzewając. Myślałem, że zimy nie przetrzymam i to była jedna nadzieja moja, bo innej przed sobą nie miałem. Ach! miła matko, miła ojczyzno, jakoże mi za tobą tęskno było! – i za tobą, dziewczeczko moja, której nie widząc nie tylko miłować nie przestałem, ale pragnąłem więcej jako wody w znoju, jako chleba w głodzie, jako śmierci w męce...

Wszelako Opatrzność różnymi sposobami czuwa nad tymi, których doświadcza. Gdyby bowiem nie nędza i poniewierka, w jakiej żyłem, mógłby mnie Sulejman do Carogrodu lub do Galaty sprzedać, gdzie są wielkie niewolników targowiska, a teraz z powodu onej mizerii nikt by mnie i darmo wziąć nie chciał, bo więcej do konającego człeka lub do Łazarza niż do ryce-rza byłem podobny. Mniejsza, iż tylko smolna symara okrywała nagie członki moje, ale chudość moja żyjącym kościotrupem mnie czyniła, a przy tym włos bujny wyrósł mi na brodzie i głowie, skóra popękała na całym ciele i pokryła się strupami i liszajami od wielbłądów. Inni za trędowatego mnie mieli i nawet w niewolnikach obrzydliwość wzbudzać począłem. Ale już ciało swe, powłokę marną, która jak każda odzież zedrze się i w szmaty popada, za grzechy moje ofiarował, bo tylko dwie rzeczy trwałe być mają, a to: dusza nieśmiertelna i honor, który na urodzeniu się fundując tak pryncypalnym jest dla niej przymiotem, jako właśnie światłość dla gwiazd niebieskich.

IV

...Nadeszła wiosna i znowu cieplejsze słońce oświeciło nędzę moją. Tak zaś już do niej przywykłem, że prawie zapomniałem, iż są szczęśliwi ludzie na świecie. Bociany, pliszki, jaskółki i skowronki leciały stadami ku północy, a ja im mówiłem: „Ptaszyny marne, ach! mówcie Rzeczypospolitej i wszelkim stanom, że jako szlachcic patriota wytrwał i choć tak mocno do ziemi przybity, choć tak nogami pogan zdeptyany, przed Panem moim tylko płaczę, a dla nieprzyjaciół dumne oblicze chowam i ducha w ucisku nie dałem”. Koniec mej nędzy był jeszcze daleki, ale wiosna owa zmiany i wróżby nowe przyniosła i dziwnych zapowiedzi była pełna. Na niebie nad Krymem zjawiała się różga gniewu Bożego, kometa, i sinym okiem mrugając trzęsła ogonem na zatracenie Krymowi i pogaństwu. Przerażeni Tatarowie z gwarem, brzękaniem i krzykiem po nocach chodząc, chmury strzał zapalonych z łuków ku niebu cisnęli, aby zstraszyć onego ptaka złej wróżby. Książę im post ogłosił, czarnoksiężnicy przepowiadali plagi. Strach padł na serca ludzkie i nie był strach daremny, bo wieści doszły, że nad Palus Maeotis wybuchła zaraza. Wyprawy miały iść tej wiosny do Rzeczypospolitej dwoma szlakami i nie poszły. Ludzie kupami w dzień na ulicy stojąc rozmawiać głośno nie śmieli, a jedno oczy ku wschodowi zwracali, skąd miał „czarny dziw”, jak go zwali, nadlecieć. Coraz to nowe wieści krążyły między ludem, aż wreszcie gruchnęło po Kizlich, iż mór już się w stolicy chanowej pokazał. Sam chan ze stolicy uciekł. Jedni mówili, że się w góry, które są na południu, z żonami swymi schroni, inni, że do Kizlich, gdzie wiatry morskie czyszczą powietrze, przyjedzie.

* * *

Przybył tedy chan za poradą wróżbitów do Kizlich, pędząc przed sobą trzody okrutne, aby miał co jeść z dworem swoim. *Praefectus* Sulejman ze czcią go wielką podejmował, a ludzie na twarzy przed nim padali, bo go niewolnicy owi prawie za Boga i powinowatego ciałom niebieskim mają. Ordy niewiele było przy nim, jedno dwór i tysiąc baskaków i nieco hodźów i agów w żółtych tołubach, bo obawiano się, aby w wielkim nagromadzeniu ludzi łatwiej nie okazała się zaraza. Wędrowała ona po Krymie głównie w tej części, którą Jenikalską zowią. Tam rzuciwszy się na jakowe miejsce, wzięła pogłównie, a inne ałusy minęła całkiem, gdzie zaś przeszła, tam nawet ptactwo padało. Ale do Kizlich o dwa dni drogi najbliższej przyszła. Dziękował tedy Bogu chan za ocalenie i szczodrze wróżbitów obdarzył, a wielu też niewolnikom wolność darował. Ale właśnie gdy inni frukta łaski jego zbierali, na mnie przyszła ostatnia próba.

* * *

Pewnego razu, przejeżdżając podług barłogu, na którym leżałem, bardzo blisko przyjechał, a spojrzawszy na mnie pytał Sulejmana, co by to był za człowiek tak nędzny. Ten co odrzekł, nie wiem, widziałem jedno, że długo ze sobą rozmawiali i widać Sulejman na niewdzięczność i zatwardziałość moją się skarżył, gdyż w końcu rzekł głośno: „Spróbuj go, panie!”. Czym zaciekawiony chan sam ku mnie koniem ruszył. Wnet dwa czaukczy lecieli przed nim, krzycząc: „Na twarz, psie niewierny!”. Ale tego nie uczynił, choć mnie długimi trzciniami po głowie bić poczęli. Więc on władca zbliżywszy się pytał: „Czemu przede mną na twarz upaść nie chcesz?”. Odpowiedziałem mu: „Panie, jeśli ślachcicowi przed własnym królem tego czynić się nie godzi, jakże chcesz, abym przed obcym i poganinem to czynił?”. Tu chan odwróciwszy ode mnie twarz rzekł: „Roztropnie mówiłeś, Sulejmanie”. A potem do mnie: „Gdybym ci wybór dał, albo cześć mi oddać i na twarz upaść przede mną, za co wolnością byłbyś obdarzony, albo śmiercią okrutną umrzeć – co byś wybrał?”. Na to odrzekłem, że niewolni-

kowi wybierać nie przystoi, niechże więc uczyni ze mną, co zechce, niech jednak baczy, że każdy najpodlejszego stanu człowiek może śmierć okrutną zadać, ale majestat monarszy, w woli Boga swoje *intium* mając, wtedy Stwórcy najpodobniejszym się staje i najlepiej swą potęgę oznajmia, gdy nie śmierć, ale życie dawa. On zastanowiwszy się nad moimi słowy tak potem mówił: „Jeśli, niewolnikiem będąc, nie chcesz mi czci oddać ani mię słuchać, tedy przeciw Bogu postępujesz, który niewolnikom posłuszeństwo przykazał”. Odrzekłem: „Ciało moje jest tylko w niewoli”. Co słysząc, Tatarowie aż pobledli, ale on był cierpliwy, gdyż niepróżno nazywano go Roztropnym. Namysłiwszy się tedy odjechał, ale odjeżdżając powiedział agom i czaukczom swoim: „Gdy w niewolę niewiernych popadniecie, temu człowiekowi bądźcie podobni”. Więc potem miałem spokój przez dwa dni i jeść mi przynosili. Inni zaś przychodzili nawet do mnie, mówiąc: „Pan nasz cię nie zapomni; ale gdy do łaski cię wyniesie, nie zapominaj o nas”.

Tak niewolnictwo upodliło serca tych ludzi, że w przewidywaniu zmiany fortuny mojej jeszcze mnie na barłogu leżącego już sobie kaptowali. Ja zaś cieszyłem się w duszy, bom myślał, iż może wolność, a z nią i szczęście moje odzyszczę. Po dwóch dniach chan przejeżdżając, znowu ku mnie konia zwrócił: „Rozważałem – rzecze – słowa, któreś rzekł, w mądrości mojej i na wagach mej sprawiedliwości je położyłem. Znalazłeś za twoje męstwo łaskę u mnie; mów tedy, czego byś pragnął, abym dla cię uczynił”. – Odpowiedziałem, że w wolnym zrodzonym stanie wolność najmilszym by mi była fruktem łaski jego. On spytał: „A gdy ci jej odmówię?”. „Tedy daj śmierć” – odrzekłem. On znowu się zastanowił, ile że chciał, żeby wszyscy podziwiali i sławili mądrość jego, iż nic bez namysłu nie przedsięwzię. A przez ten czas serce biło we mnie jakoby młotem. Namysłiwszy się, mówi: „Gaurze! nie naciągaj łuku zbyt mocno, aby zaś nie pękł i ręki ci nie zranił; przeto ci powiem ostatnie słowa: żółty tołub ci dam, do dworu cię mego wezmę, dostatkami nagrodzę i koniuszym moim uczynię, odmiany wiary nie wymagając, byłeś rzekł, iż z dobrej woli służyć mi będziesz”. Wtedy zadrgało mi serce zrazu radością wielką, ale wnet pomyślałem, że to pokusy są może szatańskie, a potem jeszcze – co rzeknę ojcom moim, gdy mnie pytają: czym byłeś na świecie? Zali rzeknę onym rycerzom w boju poległym: koniuszym byłem z dobrej woli tatarskim? I okrutny strach mnie zdjął przed tym ojców pytaniem, większy niżeli przed męką i śmiercią; wyciągnąwszy tedy do chana ręce, wołałem: „Panie! woli ty mojej nie żądaj, bo wola z duszy wychodzi, dusza zaś nie tylko wiary jest pamiętna, lecz i stanu, w którym na świat przyszła, a stan ów od ojców wzięwszy, muszę im go odnieść nieskalanym”. „Niewolniku, złamałeś łuk” – rzekł chan i już widziałem, że godzina nadeszła, bo gniew począł występować na jego oblicze, ale się opamiętał i takimi do Sulejmana ozwał się słowy: „Mądry Sulejmanie! Zaprawdę, w łasce za daleko z tym psem zaszedłem, a teraz ci przykazuję, byś go złamał koniecznie; ale nim życie mu weźmiesz, do tego męką go doprowadź, by nawet u twoich nóg w pokorze się czołgał”.

W tym odjechał, a mnie zaraz z rozkazu Sulejmana Kałmukowie porwawszy przywiązali do pala. Co było ludu i niewolników, wszystko się zbiegło, aby patrzeć, jakie męki będą zadawane. Ja zaś duszę ku Bogu ze wszystkich sił wyteżywszy o to najwięcej Go błagałem, by mi sił dodał i upodlić się nie pozwolił. I wraz poczułem, że modlitwa została wysłuchana, bo duch mocny na mnie wionął. I pomyślałem, że przedstawiciel jest tej siły Krzyża, co się nie zgina, że ja tu poseł jest Rzeczypospolitej, na mękę od stanów delegowany, że ja tu żołnierz na ordynansie Chrystusowym *moriturus* i powołany, abym fundamentem życia mego świadczył o duchu, który jako ogień niebieski nie gaśnie. A pomyślawszy tak, choć nędzny, prochem pokryty, głodem wychudły, bezsilny, taki niezmierny w sobie poczułem majestat, jakobym z wyniesienia na świat poglądał. Kałmukowie zaś siec mnie surowcem poczęli i wkrótce krwią spływałem. Pytali mnie tedy: „Padniesz twarzą?”. Odpowiadałem: „Ślachcicem polskim jestem”. Wtedy ci siekli mnie na nowo, inni zaś ognia wolnego pod nogami mymi napalili, abym się piekąc prędzej o litość zawołał. Jakoż począłem ustępować, ale nie duszą,

jedno ciałem, bo omdlałość wielka rozeszła się po kościach moich i światłość dzienna bladła w oczach. Dopiero widząc, że już śmierć nadchodzi, resztą sił podniosłem głowę do góry i zawołałem w stronę Rzeczypospolitej: „Widziszże ty mnie i słyszysz?”. Aż tu nagle, jakoby przez całe stopy i Perekop, doszedł mnie głos: „Widzę!” – w dalekościach coś się ćmić zaczęło, niebo i powietrze zbiegało się do kupy, z czego niewiasta ze słodkim obliczem wypłynęła i stanęła koło mnie. Ogień przestał mnie parzyć, surowiec nie świstał już nade mną i poczułem, że lecę na ręku onej niewiasty niesiony. Ona zaś ku niebu leci, a z nią roje aniołków śpiewających: „Nie w kontuszu, nie przy karabeli, ale w ranach? Rycerzu, rycerzu, w boju mężny, w męce cierpliwy, Chrystusów Palladzie cichy, krwawej ziemice synu wierny, witaj w spokoju, witaj w szczęściu – w weselu!”... I tak lecieliśmy ku niebiosom, a com tam ujrzał, tego już grzeszne usta moje ziemskim uszom opowiedzieć nie mogą.

V

...Wóz skrzypiał pode mną i wiatr obwiewał mnie świeży a chłodny. Otwieram oczy – Kizlich nie widzę: step jedno, step jako morze. Więc przymknąłem powieki myśląc, że sen mi jasłeczka jakoweś wyprawuje. Spojrzę znowu: twarz starą Chimka, marszałka Tworzyańskich, przy sobie widzę, a za nim luzaków kilku. Ten zasię mówi: „Bogu niech będzie chwała, jużes nam waćpan oprzytomniał”. Pytam: – Gdzie jadę? – Do Rzeczypospolitej. – Wolnym jest? – Wolny. – Kto mnie wykupił? – Panienska. – Gdy rzekł „panienka”, tedy coś jakby ogromne płkanie porwało mi się z piersi, ręce wyciągnąłem, omdlałem.

Wóz skrzypiał pode mną. Gdym oprzytomniał dzień później, wszystko mi Chimek powiadał. Ob. J. W. Tworzyański na lepszy już świat z tego lichego się przeniósł, a Marysia dziewczką jego zostawszy przy wuju swym prałacie mieszkała. Tam ich wieść o mej niedoli i mękach doszła, tam ona wujowi do nóg padłszy afekt ku mnie wyznała i z wolą jego od Sulejmanowej mocy mnie wykupiła.

Chimek chana już w Kizlich nie zastał, któren gdy zaraza przeszła, do miasta zwanego Eupatoria wyjechał, a Sulejman, za umarłego mnie mając, za trzysta czerwonych złotych, co ze mnie zostało, odsprzedał.

Chimek też myślał, że raczej umarłego dowiezie, bo przez dwie niedziele o Bożym świecie nie wiedziałem, ale przecie Bóg mi życie powrócił.

Co wszystko słysząc i wyrozumiawszy, że za przyczyną dziewczki mojej z niewoli po-gańskiej zostałem wykupiony, rzewnie płakałem i takie sobie w duszy śluby czyniłem, aby dziewczkę oną miłosierną miłować i strzec po wiek żywota mego. I teraz mi się zdało, jakoby mój pobyt w Krymie i niewola u Sulejmana, i wycierpiane męki snem były. Tak to Opatrzność sprawy świata tego urządza, iż *in tempore* wszystko mija, a jedno *in memoria* zostaje, z tą wszelako odmianą, iż im sroższe były przygody, tym o nich wspominać milej. A w ten sposób nie tylko *acti labores*, ale i *dolores iucundi* się stają. Że zaś człeka stanu rycerskiego Bóg czasem ciężko dojmie, to mu i sił doda, a jeśli życia pozbawi, to i tak nagrodzi. Mnie zaś anioła wybawiciela w Marysi mojej zesłał i pohańbić mi się w próbach nie pozwolił...

Jedno gdym się w nocy budził albo ranek zaświtał, ocuciwszy się ze spania powtarzałem sobie, że do ojczyzny jadę i Marysię widzieć będę. Co myśląc na koń zaraz chciałem siadać, ale Chimek nie pozwalał, ile że siły żadnej jeszcze we mnie nie było. Leżałem tedy na wznak na wozie jakby wór jaki – i tak dojechaliśmy do Mohylnej. Tam, gdy mnie starzy towarzysze ujrzeli, sypnęli się ku mnie, jakby pszczoły z ula, wołając: „Wiemy o tobie, wiemy! wiemy! witaj, towarzyszu miły!” – i patrząc na nogi moje, na których węgielki gęsto osiadły, łzami się zalewali, a jeden drugiemu powtarzał: „Czołem przed nim, bo ten jest rycerz między nami najprawdziwszy!”. Potem zasię zaczęli mnie dawać, co który miał albo z łupów zdobył: więc bachmaty z rzędami, namioty jedwabne, szable drogimi kamieniami sadzone, cekiny włoskie i tureckie, tyftyki, olstra, handziary bogate, naczynia srebrne albo zgoła złote, błamy sobole, a inny turkusów garść lub rubinów, a inny zapięcia diamentowe, tak że na kilka tysięcy czerwonych złotych skarbów mi zsypali, które na pięć wozów trzeba było zabierać. Co czynili z dobrego serca, ale tym łacniej, iż na wojnę właśnie szli, na Kozaków, Łoboda bowiem i Nalewajko poczęli rozruch na Ukrainie, za który Żółkiewski ich gromił. Potem jechaliśmy dalej. Często różne oddziały wojska nas spotykały, a niektórzy żołnierze zbliżając się pytali: „Kogo wieziecie?”. Na to Chimek odpowiadał: „Ślachcica w niewoli poszczerbionego”. Po których słowach nie tylko każdy zostawiał nas w spokoju, ale jeszcze, czym kto mógł, darzył. Spotkał też nas za Kijowem i sam Żółkiewski, który pochod na Perejasław symulując, przez Dniepr się przeprawić pragnął. Usłyszawszy ów wojownik sławny, co mnie w niewoli spotkało, rzekł: „Mniejszych starostwami nagradzają, o czym do króla Jegomości pisać będę”. I pierścień mnie kosztowny podarował, który dotąd na palcu noszę. Serce mi też rosło na widok

jego wojsk, te bowiem, lubo nieliczne i ustawiczną pogonią znużone, tak były sprawne i ochocze, że w żadnej bitwie nieprzyjaciel pola im dotrzymać nie mógł...

Patrząc na tych ludzi poczerńiałych od wiatru, którzy sypiali na murawie stepowej, nie jadał po dwa i trzy dni, nie zrzucali nawet i na noc pancerzy, rany prochem zasypywali, a przecież fantazją mieli bohaterską, uczyłem się pokory i myślałem: Niesłusznie bym się w pychę wzbijał i o zasługach moich wiele mniemał, gdy ci w trudach takowych nic sobie z nich nie robią i jeszcze śpiewają weseli, jakoby nie rozumiejąc, iż są bohaterami. O! jakże mnie żal było, że nie mogłem na konia sięść ani pancerza i kopii dźwignąć, ani z nimi jeździć, ale jeszcze sobie węgielki ze skóry obłupywać musiałem. Rozkoszy też wielkie były wówczas na Ukrainie dla wszelkiej duszy rycerskiej. Co noc było widać łuny, a słyhać surmy bojowe. Żółkiewski jako orzeł z panem Potockim, wojewodą kamienieckim, po stepach krążył, Rożyński kniaź koło Pawołoczy gromił, Jazłowiecki harce zwodził. Nalewajko, Łoboda i Sasko z czernią, jako wilcy, pomykali jarami. Raz też mnie czernń pijana winem mołdawskim opadła. Tym po staremu Chimek rzekł, iż ślachcica poszczerbionego wiezie, oni zaś iskiei wielkie mnóstwo, aby mnie w nocy poznać, poczęli krzesać i do Kremskiego mnie zawiedli. Tam, gdy łuczywo rozpalili, poznał mnie jeden kozacki esauł, któren ze mną w Krymie był i na Czaczuk-bairon został uwolniony. Począł tedy krzycheć: *Pane! Pane!*, a potem: „Świętego to Lacha wiozą!”, i do nóg moich przypadł, gdy zaś Kremskiemu opowiedział, jako im w niewoli pomagałem, inni też z czapkami do mnie przyśli, których zaraz zgromiłem, iż w posłuszeństwie Rzeczypospolitej nie trwają. Kremski zaś nie tylko że gardła mi nie odjął ani też nic mi nie zabrał, ale jeszcze obdarzywszy, strażę mi dodał. Tak to w mężu wojennym nieprzyjaciel nawet rany i męstwo uczcić potrafi, za co wreszcie Bóg pewno Kremskiego zbawieniem wynagrodził, który też nie był takim Rzplitej nieprzyjacielem, za jakiego go mieli...

Na całej Ukrainie, ba! w całej Rzplitej wrzało jakby w ulu i dużo klęsk Bóg na ziemi nasze spuścił, ile że przy wojnie szła i piekielnica zaraza. Gdy *animus* innymi sprawami był zajęty, mało kto na nią zważał; ale ja ją własnymi oczyma z wozu oglądałem. Szła ta zaraza nie ławą, ale jako i w Krymie miejscami ludzi napadając, pojedyncze miasteczka, wsie i osady zabierała. Byli też tu i ówdzie burmistrze powietrzni mianowani, a po osadach kupy się gnoju paliły, dymiąc smrodliwie i obficie, którego zapachu zaraza znieść nie może. Nocami parobcy smolni pilnowali onych kup, by nie zgasły. Lud w przewidywaniu klęsk procesje czynił, na których chorągwie z trupimi głowami bywały noszone. Bóg przy tym ślepotę jakowąś na ludzi spuścił, bo i zgody między możnymi nie było, którzy miasto na koń siadać, jako po prostu i ućciwie można było uczynić, sejmy sprawami swymi mącili. Nieprzyjaciel gromadził się na granicach, a siły były dziwnie rozstrzelone; w czym zawsze było nieszczęście nasze, bo gdyby wszystka szlachta i możni do boju zgodnie się zerwali, tedyby *orbis terrarum* przed nami zadrzeć musiał. Co mówię dlatego, że nie masz żołnierzy, którzy by kopijnikom naszym opór dać mogli, a jakom widział potem i janczarów tureckich, i piechotę szkocką, i szwedzką rajtarią przez nich łamaną, tak twierdzę, iż przyrodzenie hojniej nas w wojenną sposobność niżeli innych opatrzyło. My jednak stawiamy tysiąc ludzi, gdzie inni stawią dzieśćkroc.

Czemu się zaś tak dzieje, tego arkanów chyba w woli Bożej szukać trzeba, gdyż każdemu łatwiejszym się powinno wydawać na koń sięść, niż zawieruchy językiem czynić. I chwała stąd większa, i zabłąkanie *animi* mniejsze, i zasługa doskonalsza, i zbawienie pewniejsze.

Człowiek przechodzi jako podróżny po świecie, więc o siebie nie powinien dbać, jedno o Rzeczpospolitą, która jest i ma być nieustającą. Amen!

VI

...Święty Boże, Święty mocny, Święty a nieśmiertelny, bądź pochwalony w dziełach Twoich! Kędy oczy moje łzami zalane obróć, tam Cię widzę, a kędy Cię widzę, tam Cię wyznawam. Tyś na firmamencie ognie niebieskie zawiesił, Ty słońcu z morza wstawać każąc, dzień na górach i dolinach czynisz. Na chwałę Twoją bory szumią i trzody po polach dzwonią; na chwałę Twoją wojska po stepach ze rzeniem koni jeżdżą i wszelka ziemska rzeczpospolita cześć Ci oddawa. A iżeś mnie, sługę swego, opuścił i szczęścia mnie pozbawił, i w tym bądź pochwalony! Na wojnach zbiegł wiek żywota mego i w trudzie pobiegały mi włosy. Tam, panie, gdzie działa ogniem śpiewały majestat Twój, a w dymach grzmiało imię Twoje, tam byłem. I na Multanach i na Inflanciech płynęła krew moja, a dziś jestem stary i przygasłe źrenice ku ziemi się już zwracają, a ciało wiecznego spoczynku pragnie. Nie ziemskie dobra, nie bogactwa, honory i godności na tamten świat ze sobą poniosę, bom oto ubogi jest, jak byłem. Ale Ci, panie, tarcz moją pokażę i powiem: „Patrz – niesplamiona, a splamiona, to jedno krwią moją. Imięm nieskalane przechował, ducham nie poddał – i gnąc się z bólu – przeciw się nie złamał”.

* * *

Na tym kończą się urywki pamiętnika Aleksego Zdanoborskiego. Okazuje się z tej kroniczki, iż ów „książę niezłomny”, który koniuszym tatarskim nie chciał zostać, życie miał bólów pełne. Zgodnie z duchem czasu do imienia wielce był przywiązany. Z Marią, jak to z pobieżnej wzmianki końcowej widać, rozdzieliły go losy. Zapewne też wcale się już nie ożenił. Jakoż ze wszystkiego domyślać się godzi, iż ślachcic ten umarł bezpotomnie i był ze swego rodu ostatnim.